

Tak długie milczenie*

Przestrzeń tabu, to przestrzeń zamknięcia, zamknięcia oczu, odwrócenia się. Jako nie poddająca się i uciekająca od werbalizacji - może prócz uniwersalnych, zakrytych treści pomieszczać przypadkowe i pojedyncze zakazy, wstydy, lęki, tajemnice. Tabu opatrzone jest sankcją. Sankcja jednak podobną jest w materii do swego źródła - tabu. Jakaś niewysłowiona kara, groźba, może unicestwienie. O mocy tabu przekonujemy się, gdy ono aż tak powstrzymuje nas, że nie jesteśmy w stanie poznać (doznać) kary, sankcji.

Żona Lota uciekając z Sodomy odwraca się i kamienieje w słup soli - przekroczyła zakaz, tabu - spojrzenia za siebie. A przecież Bóg ostrzegął Lotę „Uchodź, abyś ocalał swe życie, nie oglądaj się za siebie i nie zatrzymuj nigdzie... bo inaczej zginiesz”

Sól to oczyszczenie. Spojrzenie wstecz jest spełnieniem potrzeby pamięci, która konstytuuje tożsamość. Jednak cena-ofiara jest wielka. Można stracić życie chcąc zachować pamięć. Jeśli traktować słup soli jako metonimię, to nie ma większej i straszliwszej tży. Płonąca Sodoma ukarana słusznym gniewem Boga.

Ale jak zrozumieć czas w którym Bóg zamilkł i przestał osobiście rozmawiać ze swym ludem wybranym? Co zrobić z obrazem płonących dzieci w Treblince, Bełżcu, Sobiborze, Majdanku... Nawet pytanie o to jest niemożliwe. Absolutne zło, nie-ludzkie w

kamień zamienia wszystkie słowa. Rozlega się milczenie ocalonych, tych którzy się ocalili, których ocalono. Niektórzy zamilkli na zawsze, nawet ich rodziny nie znały „tej” opowieści, inni przemówili po latach. Milczą też tacy jak ja- urodzeni po wojnie - zdezorietowani, odczuwający *caritas* wielkie współczucie, równocześnie broniący się przed oskarżeniami, nie przygotowani do przyjęcia odpowiedzialności, niechętni do przyjęcia na siebie winy.

Słowo Żyd wyłania się z mojej pamięci jako wspomnienie pewnego popołudnia, jako wieloznaczny obraz z wczesnego dzieciństwa (chyba 1952 r.), zapamiętany z niezwykłą wyrazistością.

To obraz zburzonej bóżnicy. Odsłonięte, obnażone wnętrze oglądam stojąc w oknie mieszkania mojej Babcia, która właśnie wróciła z Syberii.

Pytam - kto tu mieszka? - nikt - tu modlili się Żydzi. Gdzie oni teraz są - ich już nie ma.

Obraz i związane z nim uczucie dojmującego smutku wędrują do zakamarków milkliwej pamięci. Jakoś łączą się z wieloma sprawami, o których wówczas i potem miałam zamilczeć, nie opowiadać nikomu - co było tajemnicą a na długo jeszcze kształtowało moje życie. Tak więc Żydowstwo, to świat; który zakotwicza się w mojej wyobraźni jako tajemnicza nieobecność, który poznaję po latach poprzez literaturę. Z niczym nieuzasadnioną szczególną uwagą czytam wszystko, lub dużo z tego, co ukazuje się jako opowieść, wspomnienie - interesuje i ekscytuje

* Tekst wygłoszony na I-szym izraelsko-polsko-niemieckim Seminarium „Mit i Tabu” w Centrum Kultury Żydowskiej w Krakowie 26 września 1999r.

mnie ten świat. Kupuję płytę Supraphonu i na adapterze Bambino słucham śpiewu chóru praskich kantorów „Shema Iseruilll...”. Ekstatyczny biblijny śpiew tworzy tło dla powieści J. Strykowskiego ewokujących świat którego nie ma, poruszający mnie żarliwością i tragizmem. Żydzi mieszkają w XIXw i „przed wojną”.

Czas wojny jest sagą mojej rodziny, wywózki, partyzantka, gwałtowne zwroty losów. To czas kulminacji rodzinnego patriotyzmu poprzedzonego bohaterską przeszłością szeregu przodków idących do powstań, wojny 1920r. Wojna to wielki fresk. Piekło, w którym postaci ginące w rozstrzelaniach, łapaniach, obozach, na gestapo - to jacyś my - a oni to hitlerowcy, Niemcy. Nie wiem, czy było to cechą mojej wyobraźni, braku wiedzy, czy też jestem produktem tego „milczenia o Zagładzie” o którym teraz mówią historycy. Byłam ślepa, nie widziałam tam Żydów. A raczej nie wyłączałam ich z tego „My”. Ci gazowani i paleni, unieczestwiani z potworną precyzją nie byli odłączeni w mojej świadomości (osoby urodzonej po wojnie) od owego „MY”. Nie znałam też żadnego Żyda. Tak jest do 1968r, kiedy to okazuje się, że Żeńka Zylbersztajn, skubiąca ciągle końce swoich długich czarnych włosów, musi wyjechać do Izraela. Choć tego nie chce. Wyjeżdżają tam jej rodzice zmuszeni do wyjazdu. Nawiedza mnie uczucie tragiczności. Jak w antycznym dramacie. Działanie się, które zmierza nieuchronnie do bolesnego punktu - na które ja nie mam żadnego wpływu.

Sytuacja, zakręt historii, manipulacja, jacyś ludzie (jacy?) powodują że stoimy na przeciw siebie jako osoby, których tożsamość została na siłę i bez naszego w tym udziału określona.

Zegar czasu, jak w literaturze science fiction poleciał w obłądnym biegu wstecz - aż do dziadka Żeńki, zegarmistrza ze Stanisławowa, z powodu którego to dziadka ona Genowefa zwana Żeńką, studiująca rusycystkę, musi stać się Żydówką, opuścić Kraków, swojego chłopca i najbliższe kollowium z gramatyki.

Czytam „Wielki Tydzień” J. Andrzejewskiego¹ - wielki krzyk, łuna nad gettem - to obra-

zy widziane jakby przez odwrotną stronę lornetki. W zbliżeniu - bohaterowie opowiadania - osoby które odrywają się od tej bezkształtnej ludzkiej miazgi. Ona ma teraz twarz Żeńki. Irena i Jan, to znajomi sprzed wojny, studiujący kiedyś razem, spotykający się w tym samym towarzystwie. Łączył ich kiedyś nawet przelotny flirt. Teraz ona jest ukrywająca się Żydówką. Gorzką, bezlitośnie obnażającą fałszywe nutki w rozmowie, oskarżającą. On ma naturalny impuls moralny by jej pomóc, ale też i obawę o swą żonę i mające urodzić się dziecko. I choć udziela jej schronienia ich światy są zupełnie rozdzielne.

W tym samym czasie, w tej samej przestrzeni, wśród tych samych wydarzeń - trzy arystotelesowskie cechy dramatu - dzieją się dwa różne dramaty. Nie wiedzące o sobie, obce. Równoległe odrębne historie, zapatrzone w swój dramat samotności i opuszczenia.

Lata siedemdziesiąte i następne, to lata pojawiania się powieści i reportaży dotyczących czasu Zagłady², których autorami lub bohaterami są osoby które „uszyły z życiem” i chyba żadna z nich nie uważa faktu istnienia za rzecz oczywistą. Teraz Żydzi - to pojedynczy człowiek, jego historia, której nie udało się chyba wcześniej wypowiedzieć. Wypowiedzieć, bowiem opowiadanie zakłada epicką płynność, której milczącym założeniem jest - że oto opowiadane jest to, co opowiedziane być może. Tu jest inaczej, wypowiedziane jest to, co wydawało się niemożliwym. Musiał upłynąć ten czas oniemiaenia, zamilknięcia, by przez skamienieliny języka przedarło się doświadczenie dla którego brakowało słów, określić, pojęć, odniesień. Doświadczenie, które nie mogło się pomieścić w zobiektywizowanej narracji on ujrzał... on poczuł że... Niewystarczalność dotychczasowego języka literatury została pokonana formą bezpośredniego odtworzenia, przezroczyściego aemocjonalnego mimetyzmu.

Przemówili po 30, 40 latach ci, którzy są często jedynymi świadkami jakiegoś fragmentu świata, których doświadczenie oporu, niechęci, bólu wysłowienia czasu Zagłady poddało się jednak pamięci i słowu.

Ów lęk przed słowem jest wyznawany - bohaterka opowiadania Miriam Akavii, ocalo-

na z Holokaustu przyjeżdża do swojej rodziny w Tel Aviwie. Pierwsze spotkanie, pytania o rodzinę. „Margot podniosła oczy i wybełkotała parę niezrozumiałych słów. Wujek i ciotka oczekują, ale jak im opowiedzieć o wydarzeniach choćby jednego wieczoru?... Nic nam nie opowiedziałś Margot... Co się stało z rodzicami? Gdzie Rut? Czy nie byliście razem? Opowiedz. (...tu w mowie wewnętrznej przesuwają się szereg straszliwych obrazów)... Ja nie mogę wam nic opowiedzieć. Może innym razem.”³

Podobnie i wprost bez pośrednictwa postaci literackiej nazywa ten problem Michał Głowiński w swej autobiograficznej książce. „...wciąż mnie jednak coś odciągało od realizacji tego zamierzenia, w istocie przed nim się broniłem, tak jakby sam proces zapisywania sprawiał, że wydarzenia we mnie odżyją z całą swą grozą.”⁴

O grozie mówi również Ewa Hoffman podejmując swą opowieść pt. „Szteft”: „Opowieść o Polakach i Żydach w czasie zagłady. O Polsce podczas wojny - to pod każdym względem opowieść straszna. Wzbudza respekt i przerażenie. Zetknięcie z nią może skończyć się moralnymi zawrotami głowy, chorobą na śmierć.”⁵

Lecz owa choroba na śmierć nie jest wystraszającą groźbą, by jak żona Lota nie chciał się odwrócić, odtworzyć tego, czego z pamięci wyrzucić się nie da, co żyje jakąś formą życia, która choć bezsłowna ma wpływ na swego „nosiela”. „Szliśmy szybko za ścianą ludzkich pleców. Dziadek w palcie i kapeluszu, za nim matka w chuście, a na końcu ja z pochyloną głową. Widziałem tylko nogi... Bolały mnie kolana. Zdawało mi się że zostaję w tyle, a nogi, w które się wpatruję, nie są nogami matki, lecz kogoś innego. Dziadek i matka nie oglądali się za mną. Gdyby ktoś mnie poznał i krzyknął „łapaj żydka” zniknęliby bez odwrócenia głowy”⁶ Tak, to jest opowieść o nas, o Żydach i Polakach w czasie wojny, w czasie Zagłady.

Terapeutyczny sens uwolnienia słów przez nosicieli milczenia stał się traumą, sankcją złamania tabu, tyle że w słup soli nie zamiera ten kto obejrzał się za siebie, ale ten kto

ujrzał obrazy przed którymi cofa się wyobrażenia i mowa. To obrazy ucieczki z kryjóWKi.

Ucieczka z wzrokiem wbitym w ziemię, spuszczoną głową, ukrytą twarzą, w ciemności. Z ukrytą twarzą która mogła zdradzić, która była jak wyrok, jak przekleństwo, jak najgorszy wróg. Ta twarz zyskiwała swój śmiertcionośny sens w spotkaniu ze spojrzeniem, które oceniało, taksowało i wydawało wyrok. Najgorsze, że patrzącym mógł być „zwykły człowiek”, wcale nie zwrodnialec z pejcem w ręku. Pocziwa pomoc kuchenna w cukierni stawała się ekspertem od żydowskości a oglądane, taksowane i wyrzucone poza nawias, jako niewarte życia mogło być dziecko. „...kobiety.. intensywnie mi się przyglądają. Byłem już na tyle doświadczonym ukrywającym się dzieckiem, że od razu pojąłem, co to oznacza i co może zapowiadać. Poziom strachu wzrósł radykalnie. To przyglądanie się czułem wręcz namacalnie, jakby mnie smagało, kobiety oblaśniały mnie wzrokiem tak, jakbym był niezwykłym stworem, kwestionującym samym swoim istnieniem prawa natury i jakby za chwilę musiały postanowić, co ze mną zrobić, bo przecież nie może zostać tak, jak jest”.⁷

Poprzez te wszystkie obrazy brnę do pytania, które rodzi się bardzo trudno. Powinno być właściwie odpowiedzią na Lewinasowe „Ty mnie nie zabijesz”. Myślę jednak, że te sceny ucieczki i „spotkań”, ten strach i to osaczenie i władza taksującego spojrzenia to przestrzeń tabu pomiędzy nami. W przestrzeni spotkania wpisana śmierć. Śmiertcionośna hitlerowska machina władzy była jakoś bezosobowa. Precyzyjna, okrutna, aindywidualna. Denuncjowanie, osaczenie spojrzeniem, wydawanie na śmierć było aktem indywidualnego spotkania. Twarzą w twarz. Spojrzeniem w spojrzenie, zdradą. Unde malum? Skąd to zło? Zaszczuty spojrzeniem człowiek stający się nic nie wartym obiektem. Wartym jedynie śmierci. Czy aby napewno my Europejczycy mamy już za sobą te doświadczenia? Czy człowiek końca wieku może powiedzieć - to zło - to paroksyzm historii, to rasizm, to nazizm, to nie ja?

Tak mówiłam i myślałam ze ściśniętym gardłem. Wielu myśłem odmówiłam słów. Nie

potrafiłam nigdy pojechać do Oświęcimia. Wcale nie uważam, że nie powinnam. Jeżeli choć jedno zdanie przerwało milczenie a nie uczyniło zła poświęcam je Jasi Haubenstock.

Literatura

- 1 Jerzy Andrzejewski Wielki tydzień, W-wa 1946
- 2 Np. Bohdan Wojdowski, Chleb rzucony umarłym, W-wa 1971
- 3 Miriam Akavia, Cena, Wrocław 1992
- 4 Michał Głowiński, Czarne sezony, W-wa, 1999
- 5 Eva Hoffman, Sztetł, Zeszyty Literackie nr 66
- 6 Wilhelm Dichter, Koń Pana Boga, Kraków, 1996
- 7 Michał Głowiński, Czarne sezony, W-wa, 1999